

WIADOMOŚCI ILLUSTROWANE



№ 14.

Wilno, 1 (14) grudnia 1913 r.

Rok I.



Walka oddziału polskiego z wojskiem szwedzkim pod Jasną Górą w 1655 r.

Hej, żeby tak...

Hej, żeby tak w garści socha
Iść warkoczem skib.
Orać dla tych, co się kocha,
Na powszedni chleb—o wiosnie,
Na powszedni chleb!

Hej, żeby tak wodzić pługiem...
„Odsie“, „wista“, „kse“!
Po nad Wisłą, Narwią, Bugiem,
Tam, gdzie serce rwie i dusza,
Tam, gdzie serce rwie!

Hej, żeby tak ziarna z korzec,
Na tysiączny plon,
Niechby rośło, jak proporzec,
Jak radosny dzwon szumiąco,
Jak radosny dzwon!

Hej, żeby tak cztery siwe,
Bicz konopny... hej!
Huknąć, jechać w dni szczęśliwe,
O wiosence tej złocistej,
O wiosence tej!

Kazimierz Laskowski.

▷○○○○○○○○◁

Pod murami Częstochowy.

Ciężkie i smutne koleje przechodziła Polska za panowania króla Jana Kazimierza.

Wycieńczona wojną z kozakami, którym przywodził Bohdan Chmielnicki, musiała jeszcze odparć najazdy moskiewski i szwedzki.

Z powodu waśni i niezgody w narodzie, nie mogła Polska stawić należytego oporu wrogom; to też Szwedzi zagarnęli Warszawę, a nawet dzielnie broniony przez Stefana Czarnieckiego Kraków. Zdawało się, że naród ginie. W najcięższej jednak chwili obudziła się w nim waleczność, ofiarność, siła. Podczas, gdy wojsko było zwyciężane, gdy nasze najpotężniejsze twierdze poddawały się wrogom—garść szlachty, chłopów i mieszczan polskich, pod wodzą ojców Paulinów, wytrzymała szturmowi dziewięciu tysięcy wojska szwedzkiego na Jasną Górę w roku 1655. Nietylko wytrzymali te szturmy Polacy, ale nie oddali wrogom świątyni swojej Królowej, Panienci Najświętszej. Przy klasztorze Jasnogórskim skupiła się wszystka nadzieja, miłość, chęć oddania życia za Wiarę i Ojczyznę bez najmniejszego wahania. Nikt tu nie wątpił, nikt nie starał się o bezpieczniejsze miejsce, tylko każdy szukał odpowiedniej dla siebie służby przy obronie. Gdy Szwedzi proponowali poddanie się, Polacy ustami Zamojskiego odpowiedzieli: „Lepiej zginąć, niż przyjąć haniebną niewolę i patrzeć na zniewagę świętości“

Wodzem walecznych obrońców Częstochowy był przeor oo. Paulinów Augustyn Kordecki. Wśród huku dział, jęku rannych, świecił on niewzruszonym

spokojem i pogodą bez miary. Z tej duszy, nateżonej ze wszystkich sił ku Bogu, wiara płynęła głębokim i spokojnym strumieniem, pili ją wszyscy pełnemi usty, a kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Kordecki był dla wszystkich ojcem dobrym, pocieszycielem i obrońcą. Gdy ręce omdlewały ze zmęczenia, gdy w serca wkradała się rozpacz—ukazywała się na walach niestrudzona postać Przeora, na czele procesji, z monstrancją w rękę—i znowu wstępowała nadzieja, znowu ze wszystkich piersi płynęła pieśń:

Bogu Rodzica Dziewica
Bogiem sławiona Maryja.

Dziś prawie wszystkie imiona tych, co życie swoje ofiarowali przy obronie Jasnej Góry, zginęły w niepamięci. Ale ich bohaterstwo, ich wytrwałość i trudny nie mogą być zapomniane. Powinny być one dowodem i przykładem, że o zwycięstwie decyduje nie tylko przewaga liczebna i siła, ale duch, jaki walczących ożywia, ukochanie tego za co się walczy, wiara w zwycięstwo.

Niechże pamięć o tych, co tak głęboko kochali, i tak wiernie, aż do ostatniego tchnienia służyli Ojczyźnie, będzie dla nas zachętą i błogosławieństwem na trudną drogę pracy, walki i ofiary.

▷○○○○○○○○◁

Wyprawa kapitana Scotta.

(Ciąg dalszy).

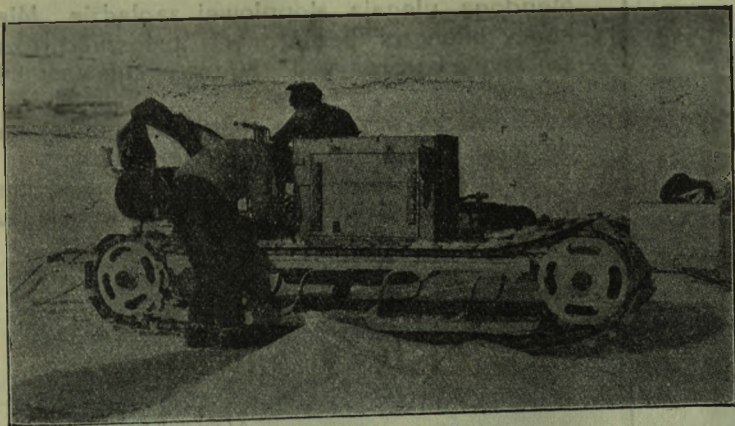
Zima (na półkuli południowej, pory roku przypadają w innych miesiącach, niż u nas. Letniemi są miesiące: grudzień, styczeń i luty, zimowemi zaś czerwiec, lipiec i sierpień) przeszła wszystkim na pracach naukowych, oraz na przygotowaniach do zbliżającej się wyprawy ku biegunowi. Aby nie upadać na duchu i nie stracić humoru, zabawiano się w wolnych chwilach, jak można było. O ile pogoda pozwalała, oddawano się z zamiłowaniem grze w piłkę nożną; wieczorem urządzano odczyty, koncerty, przedstawienia kinematograficzne.

Na wiosnę wszystko było do podróży gotowe.

Dnia 25 października 1911 roku wyrusza w drogę oddział, złożony z oficera marynarki Evansa i trzech ludzi, wioząc na dwóch saniach samochodowych artykuły żywności, przeznaczone na założenie kilku składów dla zabezpieczenia powrotu. W kilka dni później wyrusza główny korpus wyprawy ze Scottem na czele, złożony z 14 ludzi, 10 koni i 20 psów. Konie i psy ciągną sanki z prowiantami, namiotami, instrumentami naukowymi itp.

Dwa te oddziały spotykają się przy składzie „One Ton Camp“, gdzie Scott się dowiadyuje, że sanie samochodowe uległy w drodze zepsuciu, wobec czego musiano je porzucić. Oficer Evans ze swymi trzema ludźmi na zwyczajnych sankach dociągnęli sami olbrzymi ciężar zapasów aż do „One Ton Camp“, gdzie powiększą one i tak już dość obfity skład żywności.

Wkrótce Scott odsyła dwóch ludzi do domu, reszta zaś posuwa się naprzód. Pięć koni w pewnych odstępach czasu zostaje zabitych, aby dostarczyć mięsa na pokarm dla psów. Droga staje się coraz uciążliwszą; miękki śnieg utrudnia pochód ludziom, szczególnie zaś koniom, Na domiar złego zrywa się burza śnieżna i przez cztery dni nie po-



Sanki samochodowe.

zwala na posunięcie się na krok bodajby; po burzy droga jest tak okropna, że na 14 godzin marszu posuwają się naprzód zaledwie o 15 wiorst.

Mimo jednak tych wszystkich trudności, 9 grudnia dociera karawana do góry „Hope“, którą trzeba przebyć, aby się dostać na lodowiec „Beardmore“, po którym będzie można przeciąć zagrażający drogę łańcuch górski. Pozostałe konie, nieużyteczne już, gdyż po lodowcu pod górę posuwać się nie mogą, są skazane na zagładę. Gdy zaś góra „Hope“ zostaje szczęśliwie przebyta, odsyła Scott czterech ludzi do domu, wraz ze wszystkimi psami. Od dnia tego cały zapas żywności, namioty i instrumenty muszą podróżni sami ciągnąć na sankach. A praca to niemała. U stóp lodowca „Beardmore“ znajdują się oni na wysokości 656 stóp ponad poziomem morza, początek zaś lodowca, dokąd muszą dojść, aby się przedostać na wyżynę centralną, na której leży biegun, osiąga wysokości 9843.

Na tak olbrzymią wysokość muszą oni nie tylko sami wejść, ale wciągnąć ciężko naładowane sanki. W dodatku nie wyobrażajcie sobie czytelnicy, że lodowiec jest to gładka, równa powierzchnia, po której idzie się, gdzie i jak się chce. Jest on w wielu miejscach straszliwie spękany, gdzie na każdym kroku zryha na nieostrożnego wędrowca szczelina głęboka na kilkaset a nawet parę tysięcy stóp. Dobrze jest jeszcze, jeżeli szczelina jest widoczną, gorzej bywa gdy przykrywa ją śnieg; wtedy każdy krok nieostrożny sprowadza katastrofę. Mimo takich trudności jedenastu ludzi ze Scottem na czele dzielnie posuwa się naprzód i 21 grudnia stają wreszcie na centralnej wyżynie.

Stąd Scott znów odsyła 4 ludzi do domu, a sam z siedmioma rusza dalej. Wreszcie 31-go grudnia, w odległości 281 wiorst od bieguna zakłada znów dość znaczny skład żywności i odsyła trzech ludzi z powrotem. Odtąd pozostanie już do końca podróży z czterema ludźmi, z którymi chce dotrzeć do bieguna i odbyć całą drogę powrotną. Oprócz więc kapitana Scotta niewielką karawanę składają: doktor medycyny Wilson, oficer marynarki Bowers, oficer dragonów Oates i majtek Ewans. Już do tej pory dużo przecierpieli: od października są w drodze, do

10 grudnia ciągną sami ciężko naładowane sanki, od początku podróży nie rozbierają się, ani nie myją (temperatura wynosi od 20 do 30 stopni mrozu), śpią w workach ze skóry reniferów pod cienkim namiotem, oczywiście bez ogniska, gdyż ogień maszyny naftowej, służącej do rozpuszczania śniegu i przygotowania niewielkiego posiłku, który zresztą nigdy nie wystarcza na najedzenie się do sytości, ogień ten, powtarzam, nie suszy nawet zmoczonego ubrania. Lecz to wszystko nic w porównaniu, z tem co ich w przyszłości oczekuje. Mimo wszystko dzielnie idą naprzód w nadziei, że może im się uda wyprzedzić Amundsena w przybyciu do bieguna.

Niestety, ta nadzieja, podtrzymująca ducha, została rozwiana jeszcze przed przybyciem do celu.

W odległości 75 wiorst od bieguna spotykają na śniegu ślady sanek. Niema najmniejszej wątpliwości, tędy przechodził Amundsen. Ile ich musiało kosztować to odkrycie, to zawiedzenie nadziei, rozwianie marzeń? Z jakim sercem ściśniętym patrzyli oni na tych kilka linii wśród płaszczyzny śnieżnej, wykazujących niezbitcie, że zostali wyprzedzeni?

Mimo to dążą naprzód, i 17 stycznia 1912 roku stają przed namiotem, pozostawionym na biegunie przez Amundsena. Scott znajduje w nim kilka instrumentów oraz dwa listy Amundsena: jeden do siebie, drugi do norweskiego króla Haakona.

Dnia następnego, korzystając z ładnej pogody, przeprowadza Scott ścisłe pomiary i, posiadając znacznie dokładniejsze instrumenty, aniżeli Amundsen, stwierdza, że ten ostatni pomylił się w swych obliczeniach tylko o jakieś pół wiorsty. Tak niewielkiej przestrzeni nie bierze się w podobnych wypadkach pod uwagę. Posuwa się jednak Scott na obliczony przez siebie punkt i zatyka tam flagę angielską, która zaprawdę zasłużyła na ten honor.



Głębokie szczeliny w lodzie.



Ułani Zamojskiego w bitwie pod Kuflewem w marcu 1831 roku
(według obrazu Wojciecha Kossaka).

cioly, klasztory, gmachy publiczne, wreszcie nawet domy prywatne — wszystko to nosi na sobie cechy słonecznej wolności. Nie jedna kamienica przyozdobiona jest figurą M. Boskiej lub innego Patrona świętego. A lud sam? Lud bawarski gruntownie pobożny, wesoły i poważny zarazem, doskonale odzwierciedla nastrój ducha tego wolnego kraju.

Bawarczycy chociaż sami Niemcy, jednakże zawsze podkreślają, że nie są oni Prusakami, owszem miano Prusaka jest dla prawdziwego Bawarczyka obelgą. To też na zebraniach, w przemowach Bawarczycy nie szczędzą ostrych docinków Prusakom. Lud bawarski kocha swoją ojczyznę. kocha też swego króla, jak dzieci kochają ojca i matkę. Ta piękna cecha ciepłego stosunku ludu do króla widoczna jest na każdym kroku. Król Ludwik III, który niedawno objął rządy, jest już staruszką. Można go często widzieć, jak się udaje do kościoła na Mszę św. lub na jakieś zebranie. Bez żadnej ochrony, bez wojska i policji jedzie starowina w powozie i z uśmiechem przyjaznym odpowiada na liczne ukłony swych poddanych. Wie on, że nikt go nie obrazi, bo nikomu nic złego on nie uczynił.

Na ulicach porządek, lud czysto ubrany. Co najbardziej uderza przybysza z zaboru rosyjskiego, to ten szczegół, że na ulicach niema wcale... pijanych. Niema tego cynizmu, tych dzikich wybryków zdzicza-

łej młodzieży, bo tu są wszyscy dobrze wychowani wszyscy umieją czytać i pisać i wszyscy wiele czytają gazet. Każdy chłop ze wsi, jadąc do miasta, czy z miasta, czyta sobie gazetę.

Jakże inne stosunki panują w Wilnie. Patrząc na to wszystko, smutno się robi na duszy, że u nas niema takiej kultury, niema takiego wyrobienia duchowego, jak tu. To też zadaniem pism polskich jest tę kulturę zaszczepić i rozszerzać. Sądzę, że „Wiadomości Ilustrowane“ poważną w tej sprawie odegrają rolę, co oby Bóg dał jaknajrychlej.

Ks. W. Szytkiewicz.

▷○○○○○○○○◁

Zjedzony przez ludzi.

Niedawno pisma paryskie otrzymały straszliwą wiadomość z posiadłości francuskich w Afryce środkowej: kupiec, francuz, nazwiskiem Huberson, został złapany przez ludożerców i zjedzony przez nich.

Przed kilkoma miesiącami, pomimo wielokrotnie powtarzanych ostrzeżeń, Huberson puścił się w podróż po Gwinei, w celach handlowych. Pewnego dnia, o zmierzchu, został napadnięty przez bandę dzikich; chciał się bronić, ale brauning, którym się



Radcy sądowi Kalisch (X), Beemelman (XX) i dwóch adwokatów, którzy
byli w Saverne aresztowani przez żołnierzy.

skiem Forstner i jego zwierzchność wojskowa z pułkownikiem Reutterem na czele.

Przed miesiącem zaszedł w Saverne wypadek następujący:

Podczas wizytacji nowych rekrutów okazało się, że jeden z nich był karany więzieniem za napad i okaleczenie. Odbywający wizytację porucznik Forstner zbliżył się do niego i rzekł według sprawozdań śledztwa urzędowego:

— Uwważaj na przyszłość, gdy będziesz sam szedł do miasta. Zdaje się, że masz ochotę do bójk, a w Zabern łatwo o okazję. Hamuj przeto swą żądę czynu. A gdyby cię napadnięto, to zrób użytek z broni. Gdy zaś przytem zakłujesz jakiego alzackiego *wackesa*, dostaniesz ode mnie dziesięć marek.

A kapral dodał:

— Ode mnie osobno jeszcze trzy marki.

Pomiędzy ludnością alzacko-lotaryńską podniosło się ogromne oburzenie przeciwko porucznikowi i sferom wojskowym. Słowo *wackes* jest — jak zapewniają pisma niemieckie — wyrażeniem obraźliwym, którem Niemiec z cesarstwa traktuje alzackiego-Niemca w odpowiedzi na pogardliwe „szwab“, jakim jest sam przez niego traktowany. Różnica w tem, że szwab jest raczej przezwiskiem drwiącym i niezbyt obraźliwym, gdy *wackes* jest uważane za ciężką obelgę. Alzacczyk nie znosi, gdy odezwać się doń tem przezwiskiem.

Wiadomość o tej przemowie do rekrutów porucznika pruskiego dostała się do gazet alzackich. Rzecz zrozumiała, że wystąpiły one przeciwko Forstnerowi z gwałtownymi artykułami, domagając się jego natychmiastowego usunięcia. Tymczasem przełożona władza wojskowa nie tylko go nie usunęła i wogóle żadnej kary mu nie wymierzyła, ale zuchwały porucznik w kilka dni później na rynku w Saverne na czele kompanii żołnierzy odbył paradę wojskową. Prowokacja ta dołała oczywiście oliwy do ognia. Wieczorem zebrały się tłumy ludności przed kasynem oficerskim i wygwizdały porucznika, gdy wychodził ze swymi kolegami. Dnia następnego rozruchy się powtórzyły, gdy Forstner wracał z in-

spekcji w strzelnicy. Oddział żołnierzy z nasadzonemi bagnętami musiał odprowadzić go do mieszkania, w którym wybito wszystkie szyby. Przeciwno wzburzonemu tłumowi zawezwano straż ogniową, która jednak złożona z samych alzacczyków, odmówiła posłuszeństwa. Dopiero oddział wojska z nabitą bronią zmusił tłum do rozejścia się.

W kilkanaście dni potem w Saverne aresztowano podoficera i 9 szeregowców, stojącego tam załogą 99-go pułku piechoty, za udzielenie pismom wiadomości o przemowie porucznika Forstnera do rekrutów podczas nauki.

Rozruchy znów się powtórzyły. Kiedy oficerowie z gołemi szablami urządzili gonitwę po ulicach miasta, aby pochwycić człowieka, który ich rzekomo obraził, zaczęły się gromadzić na rynku coraz większe tłumy. Do rozpedzenia ich wysłano żołnierzy.

Ci, tłukąc karabinami i wymyślając, aresztowali każdego kto się nie podobał oficerom. W ten sposób jeden

został aresztowany za to, że się śmiał; inny, jak prokurator Kleinberahne, bo zwrócił uwagę oficerom, iż nie mają najmniejszego prawa pozbawiać wolności kogokolwiek; radca sądu Kalisch nie chciał być posłuszny wezwaniu żołnierzy i dlatego był przez nich pobity. Aresztowanych, w liczbie 30 osób, trzymały władze wojskowe w piwnicy przez 24 godzin.

Ta samowola władz wojskowych wywołała oburzenie głębokie nie tylko w Alzacji, lecz i w Prusach nawet. W parlamencie niemieckim wniesiono interpelacje. W tych dniach właśnie odbyły się nad nią obrady. Mowy kanclerza i ministra wojny, którzy stali się usprawiedliwiać samowolę władz wojskowych w Saverne, były przez ogromną większość posłów przyjęte bardzo źle. Kanclerzowi wyrażono niezadowolnienie z jego odpowiedzi.

Być może, że kanclerz niedługo poda się do dymisji. Dla uspokojenia opinii 99 pułk piechoty usunięto już z Saverne.

▷○○○○○○○○◁



Patrol na ulicach Saverne.

Odpowiedzi Redakcji.

W-ny ksiądz W. Szyłkiewicz. Za pamięć i słowa życzliwe serdecznie dziękujemy. O naszych sprawach, radościach i kłopotach wkrótce napiszemy.

W-ny p. M. Koiszewski w Grodnie. Pieniądze otrzymaliśmy, numer 14 wysyłamy; nie wiemy jednak od jakiego czasu Szanowny Pan życzy sobie odbierać „Wiadomości Ilustrowane“.

Wesoły kącik.

POWRÓT SYNA MARNOTRAWNEGO.



„Ulk“

Car Ferdynand. Moja czy nie moja, oto pytanie.

* * *

NASZE DZIECI.

Janeczku, podaj cioci rączkę na pożegnanie. No, a co się mówi, jak ciocia odchodzi.

Janeczek: Bogu dziękil

* * *

Z DZIECINNEGO POKOJU.

Haniu, a dlaczego ty się nie bawisz z Zosią i Kaziem w „państwo“, tylko siedzisz schowana w kącie.

Czteroletnia Hania: Bo ja, mamusiu, mam się dopiero urodzić, więc czekam.

* * *

MICHAŁ NA SŁUŻBIE.

— Jakże ci tam Michale na służbie? — pyta proboszcz parobka.

— Źle, jegomościu, bo muszę wszystkie kąty wymiatać.

— Bądź cierpliwy; w niebie będzie ci lepiej.

— Gdzie tam biednemu człowiekowi może być lepiej! Już ja wiem, jak tam będzie: Michale, zapal słońce; Michale, oczyść gwiazdy; Michale, posuwaj chmury; Michale, puszczaj pioruny; Michał tu, Michał tam! — Nie dadzą mi ani chwili spokoju.

* * *

PRZY KOŁYSCE.

A to rak zatraconyl wrzeszczy i wrzeszczy.—

Nie mógłbys to, Wicek, trochę pokolysać? Toć że to i twoje dzieckol

Aha! to ty se swoją połowę kołysz, a moja niech wrzeszczy.

!! Najwygodniejsze źródło zakupu !!

**DLA TOWARZYSTW SPÓŁDZIELCZYCH
i HANDLI PROWINCJONALNYCH.**

Kalendarze, pocztówki świąteczne i inne. Ołówki Majewskiego, atrament Leszczyńskiego i wszelkie artykuły piśmienne po cenie hurtowej

POLECA

W. BORKOWSKI w WILNIE,

Ś-to Jerska 5. Telefon 14-06.

Ś-to Jańska 19. Telefon 5-88.

Magazyn galanteryjny i fabryka rękawiczek

O. KAUCZ WIELKA № 10.
WILNO,

Poleca na sezon bieżący ogromny wybór futrzanych wyrobów jak: mufek, boa, pelerynek, czapek męskich, damskich i dzieciennych i t. p., z futer od najtańszych do najprzedniejszych gatunków.

REKAWICZKI NA FUTRZE i BAJU.

KALOSZE PŁYTKIE i GŁĘBOKIE.

☼☼ FABRYKA TABACZNA ☼☼

„NOBLESSE“

Kalinowskiego i Przepiórkowskiego

w WARSZAWIE

poleca wyborowe

TYTONIE i PAPIEROSY.

Skład własny w Wilnie — Gmach Hotelu Europejskiego.

ŻYCIE wasze, POSAGI dla dzieci,

UBEZPIECZAJCIE

w jedynym **POLSKIM**, opartem na wzajemności, T-wie

Ubezpieczeń

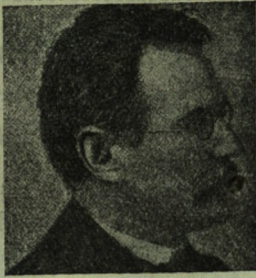
na tanich i dogodnych warunkach

Ubezpieczenia mogą być zawierane już od Rb. 100 aż do 300 tysięcy. Składka miesięczna od 17 kopiejek.

Z sumy przeznaczonej na dywidendę ubezpieczeni otrzymują 70%. Wszelkich informacji szczegółów. udziela bezpłatnie Biuro Głównej Reprezentacji na Litwę Zmudz i Ruś: WILNO, Botaniczna 1.

Zarządz. Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są ajenci.

„PRZEZORNOSC“



Bolesław Prus.

BOLESŁAW PRUS.

Na pograniczu.

Rzecz dzieje się w pogranicznej mieścinie.

Mieścina wybudowana jest w okolicy dosyć równej, otoczona nędznie uprawniami polami. W pobliżu znajduje się trochę lasu i kawałek łąki. Przez łąkę płynie rzeczka niezbyt szeroka, ale w niektórych miejscach głęboka; strome i czarne jej brzegi (ulubiona siedziba raków) porośnięte są gęstymi kępami wierzby.

Ta rzeczka stanowi granicę.

Sama mieścina odznacza się ubóstwem i nieporządkiem. Ma duży czworokątny rynek, obudowany drewnianymi domami, z których jedne chylą się do upadku, inne świecą kawałkiem nowego dachu z gontów, a jeszcze inne — wdzięczą się pomalowanymi okiennicami na kolor: jasno-niebieski, ciemno-zielony, albo czerwonawy.

Rynek jest pełen wzgórz i dolów. Wzgórza utworzyły się ze śmieci, wyrzucanych z mieszkań; z dolów wybierano glinę na wylepianie pieców. W jednym rogu placu widać studnię z kołowrotem i daszkiem; w drugim znajduje się figura świętego, z palmą w ręku i znowu pod daszkiem.

Od rynku, w różnych kierunkach, biegną uliczki zabudowane jeszcze nędzniejszymi domkami, a na końcach stodołami. — Gdzieniedzie, przy najpogodniejszym dniu, widać obszerne kałuże, które bynajmniej nie wpływają na zmniejszenie piaszczystej kurzawy na ulicach.

W porze letniej, pod domami, na spróchniałych ławkach, igrają dzieci, nędznie odziane i, jak się zdaje, rzadko myte. W kałużach pływają kacząta, albo wyleguje się samotny przedstawiciel nierogacizny.

Ogrodów jest niewiele; prawie brak cienia. Tylko przy murowanym kościele stoi kilkanaście starych lip. Około urzędu gminnego zasadzono kilka młodych kasztanów, po których dziś zostały cztery kije.

Środek miasta zamieszkują przeważnie Żydzi, obwód zaś chrześcijanie. Żydzi utrzymują szynkownie, sklepiki z pieczywem, z norymberszczyzną, solą; chrześcijanie należą do stanu rolniczego, ale bawią się także furmaństwem i rybactwem.

Napozór nadgraniczna mieścina nie różni się od

setek innych, rozrzuconych po kraju. W gruncie rzeczy jednak posiada charakterystyczne cechy, co prawda, nie rzucające się w oczy, a nawet do pewnego stopnia kryjące się przed ciekawymi spojrzeniami.

Przedewszystkiem parotysięczna jej ludność składa się z pierwiastków dziwnie ruchliwych. Dziś znajduje się tu pełno ludzi, których nie było przed tygodniem i nie będzie jutro. Pomimo to, są oni jakby u siebie w domu. Mają własne mieszkania, łóżka, mogą się w każdej chwili przebrać. Niejednego z nich widziałem onegdaj za granicą, gdzie również był jak u siebie w domu. Pojutrze możesz go spotkać w krzakach, nad rzeczką, i zobaczyć w jego fizyognomji wyraz właściwy człowiekowi, który i w krzakach jest jakby u siebie w domu.

Objeźczyki, inaczej strażnicy pograniczni, często i nagle wpadają do mieściny bez powodu i pilnie obserwują jej mieszkańców. Ale obserwowany patrzy spokojnie w oczy ciekawemu i, dla okazania większej fantazji, nuci sobie coś pod nosem.

Bez żadnej wątpliwości, każdy obywatel mieściny miał jakieś zajęcie, jakiś jawny sposób zarobkowania. Ale... wydatki jego o wiele przerosły dochody.

Pytanie: z jakiego źródła czerpał ową przeżywkę?...

Niekiedy działy się tam ciekawe rzeczy.

W szopach i stodołach ludzi, nie posiadających nawet kury własnej, rżały konie. Wśród snopów słomy, albo pod stosem gałęzi widywano zagraniczne towary. Czasami w nocy rozlegały się w polu odgłosy gonitw... Niekiedy, ale to już bardzo rzadko, znajdowano w krzakach trupa którego z mieszkańców.

Wszystkie owe tajemnicze zjawiska objaśniały się za pomocą jednego, dosyć upowszechnionego podejrzenia. Oto podobno wielu mieszkańców osady trudniło się przemytnictwem.

Jednego dnia w rynku mieściny ukazało się kilku strażników. Rozejrzeli się uważnie jak zazwyczaj. Wstąpili do szynku, gdzie gościnny gospodarz ucęstował ich gęsiną, szabasowym szczupakiem i, jak się zdaje nieplombowanym likierem.

Gospodarz, człowiek ciekawy, rzucił im przy okazji kilka pytań, na które otrzymał odpowiedzi obojętne i ostrożne.

Pomimo to, ledwie strażnicy wyjechali, w osadzie zaczęto szeptać alarmujące wieści.

Mówiono, że na posterunku złożył ktoś zeznanie, dotyczące bardzo ważnej kontrabandy.

Mówiono, że skutkiem tego czujność na granicy ma być wzmocniona i patrole zdwojone.

Uradzono wreszcie, ażeby ostrzedz wszystkich „swoich“. Tamci zaś, którzy dziś mieli przenieść, czy przewozić kontrabandę, niech łamią kark! Oni bowiem nie tylko nie byli nikomu znani, ale jeszcze nie chcieli odwoływać się do pomocy nikogo ze „znanych“.

Domyślano się, że denuncjację na owych intruzów zrobił ktoś ze „swoich“, widocznie pod wpływem poczucia solidarności i obawy, ażeby nowa tajemnicza spółka nie popsua interesów dawnej.

Ale Moszek Cymes, śniady brunet, który miał sklep norymberski, i jego brat, rudy i bladej Abramek, który nie miał, nie słuchali dalszych wniosków, wyprowadzonych z zasadniczej wiadomości. Oni, ledwie zobaczyli strażników, zaraz wyszli przed sklep i zaczęli kpinkować ze swych sąsiadów bardzo dowcipnie, choć serca uderzały im bardzo prędko. Dowiedziawszy się zaś, że z powodu jakiejś wielkiej kontrabandy dozór ma być zwiększony, obaj zniknęli ze sklepu, pozostawiając w nim swoją siostrę, Ruchlę.

Przed zniknięciem jednak zabrali z szaty duży tłumok, owinięty w płachtę, i przez podwórka i tylne ulice pobiegli do mieszkania swego ojca.

Stary Cymes zajmował dużą izbę, podzieloną przepierzeniem na dwie części. Tam gdzie było okno, siedziała jego sędziwa żona i robiła pończochę.

Za przepierzeniem zaś, w mało oświetlonym alkierzu, leżał na łóżku sam Cymes, od kilku lat sparaliżowany.

Ledwie ukazali się bracia ze swoim tłumokiem, aliści oboje rodzice poczęli im od ostatnich słów wymyślać. Matka za to, że onegdaj, w dzień szabasu, widziano ich palących fajki, a ojciec za to, że mu nie zwrócili pożyczonych w zeszłym tygodniu dziesięciu rubli.

Ale dobrzy synowie nie mieli bynajmniej zamiaru trapić serc rodzicielskich hardemi odpowiedziami. Milczeli pokornie. Tylko, wniósłszy tłumok do alkierza, zabrali się do oryginalnej roboty. Moszek chwycił pościel ojcowską w głowach, Abraham w nogach, i w ten sposób dźwignawszy paralityka, złożyli go na podłodze.

Stary kłął okropnie, matka rzucała na złych synów dużym kłębkiem niebieskiej bawełny, ale — nie to nie pomogło. Bracia wydobyli ze swego tłumoka kilkanaście sztuk tkanin, napelnili niemi szerokie łóżko, a dopiero na tym osobliwym materacu położyli na powrót pierzynę i poduszki, razem ze sparaliżowanym ojcem.

Następnie wybiegli z izby, nawet nie patrząc na swoich życiodawców.

Chory aż płakał ze złości, ale powstała na niego żona.

— Daj spokój! — mówiła po żydowsku. — Widać, że stało się coś złego, a w takim razie trzeba się przecie prędko związać. No, nie krzyez Josek, bo przez ciebie mogą ich wziąć do kryminału!...

— Niech djabli wezmą galganów, za wszystkie zgryzoty, jakie mi wyrządzili — jęczał chory.

— Cóż oni mają robić? — oburzyła się matka. — Tyś ich tego nauczył.

— Ja? Ja nauczyłem ich, ażeby ojca nie szanowali?

Historja o bladej dziewczynce

Z POD OSTREJ BRAMY

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

Każdą iskierkę, łapał w rozmowie, nosił w sercu, eksaltując się i rojąc nadal więcej a więcej jeszcze. Podobny był w tej chwili podróżnemu, który naniósłszy gałęzi, długo ogień dmucha, a gdy rozpali go, cieszy się z płomieni, choć one jutro las cały pochłoną.

Zaslepiiony na wszystko swem szczęściem, młody nauczyciel goręcej jeszcze przywiązywał się do uczennicy. Ze swej strony Julka, coraz śmielsza z nim i poufalsza nie obawiała go się, a mimowolnie codzien go widując, coraz bardziej ceniąc i serce i umysł, przywiązywała się do niego.

W tej chwili obojga ich ku sobie uczucie, nie było jeszcze namiętnością, nie było nawet gwałtownem przywiązaniem, a miłości, owej wielkiej, choć może były już zarody, drobne jednak i niedojrzane. On widział ją piękną, ale myślał najgoręcej o ukształceniu które przedsięwziął i z którego uczynił sobie rodzaj próby, interesującej jego miłość własną. — Ona widziała go dobrym, litościwym, ale miała go za zimnego. Czasem mimowoli przemyśliwała, jak to być może, żeby tak młody człowiek, nigdy jej słówka nie powiedział, którego się obawiała — i tłumaczyła to sobie swoim ubóstwem, poniżeniem, przypisywała sobie głupotę, poczyniała nie wierzyć piękności. Świat którego kątek ujrzała już czytając, świat wesoly, bogaty, strojny, nie raz oczy jej ku sobie pociągał i serce. Myślała, gdybym na nim była — wszystkoby się znalazło, czego mi braknie — piękności dodałyby stroje, rozumu piękność; w nędzy, w pracy, cóż się wydać może? Czula jednak, że coś była warta, czula jak wszyscy jej podobni, że może tyle, może więcej nawet warta była od innych.

Najlepszym dowodem złego wyboru środków ukształcenia, jakie obrał Edward, były ich skutki. Powiedzieliśmy już jak Julka w miarę postępu, traciła wesołość, swobodę, stawała się ponurą, zamyśloną, niespokojną, czula się jakby nie na swoim miejscu. Wkrótce ten rodzaj życia zbrzydł jej zupełnie, nudziło ją siedzenie z kramikiem, nudzili ją kupujący, nudziły przekupki, które się z niej przedrwiwały, modlitwa tylko słodziła życie zatrute wiadomością złego i dobrego, wprzód spokojne i szczęśliwe o ile być mogło, teraz nieznośne. Powrót do dawnego był niepodobny, drzwi się za nią zamknęły na wieki — człowiek wszystkiego nauczyć się i dowiedzieć potrafi, tego co mu najmocniej cięży zapomnieć — nigdy. Jakiejże to potrzeba uwagi w wyborze myśli którymi się żywimy, kiedy raz wzięte mogą nas na wieki nieszczęśliwymi uczynić, a pozbyć się ich potem niepodobna.

Edward jeszcze był ślepy, jeszcze innej odmiany, prócz postępu nie widział, może też dziewczynka tała przed nim myśli i uczucia swoje, wstydząc się ich trochę, przez dumę. Nie chciała dać poznać, że żądała czegoś więcej nad to co miała. Czując się strutą i nieszczęśliwą Julka jednak nie odpychała trucizny, coraz to co innego dawał jej czytać Edward, coraz to żwawiej pożerała, a on tylko zdolnościom się dziwił. Tak rok i więcej ubiegł, rok który zmienił przyszłość ich obojga, zarodami które zostawił po sobie. W istocie chłodny nawet widz, musiałby przyznać, że prosta dziewczynka, która ledwie czytała książki nabożne, cudownie postąpiła, gdy w końcu czytała i rozumiała wszystko, co zwykle najlepiej wychowane czytają kobiety. Edward już mógł z nią swobodnie rozmawiać, pewny był, że go pojmie, nie wstrzymywał się jak dawniej, nie pilnował ustawicznie, był sobą samym. Naówczas nie mogąc się dość nasycić, nacieszyć dziełem swoim, wymykał się z domu, uciekał od wszystkich, biegł do niej, i wpatrując się w czarne oczy, które już zwykły mówić od duszy, bo dusza była, żyła i objawiała się; wyobrażał sobie, że schwytał anioła lecącego nad ziemią i przytrzymał za skrzydła.

Kiedy pierwszy raz wylał się z myślami, i uczył się rozumianym, pojętym, kiedy pierwszy raz poznał z jej odpowiedzi, że stali na jednym świecie—Edward uczył nagle, że kochał.—Tak być musiało.

VIII.

Nie powiedział jej Edward co uczył, a jednak, ona się domyśliła wszystkiego, zadrżała, posunęła rękę po czole i smutnie dumając została w swojej izdebce.

Przebiegła myślą swój los, stanęła nad ostatnim rokiem, przejrzała go i pożalowała przeszłości, bo lękała się jutra. To uczucie którego się domyślała w Edwardzie, miłe jej było, pochlebiało jej, odpowiadało jakiemś niepojętemu bojaźliwemu oczekiwaniu, a jednak jakby przecuciem, zlekła się postrzegłszy je, domyśliwszy się go.

— Co będzie! co będzie! ty jedna wiesz Matko Boża, zawołała, i ty odwróć zło od biednej [sieroty]! Ach! pocóż on innie poznał, a jam świat poznała i weszła tam, gdzie nie powinna była przestępować progę!

Duszno jej było w izdebce, ciasno, wybiegła w ulicę, odetchnęła całymi pierściami, pochwyciła się za głowę.

— A ja? a ja? spytała — kochamże go? spojrzęła w siebie.

— Gdyby mi przyszło nigdy go nie widzieć? Zdaje się, że bym umarła! Edward to mój ojciec, świat, nauczyciel, dobroczyńca i anioł stróż! Ale niech on o tem nie wie, niech nigdy nie wie, że mi

popsuł życie, i że ja go kocham! Moja miłość zatrułaby jego los cały, a wiedząc o nieszczęściu, wymawiałby je sobie. Nigdy wiedzieć nie będzie, nigdy!

W tej chwili tak się czuła znużoną, niespokojną biedną, że zwróciwszy oczy w stronę Ostrej Bramy, przypomniawszy ile razy w modlitwie znalazła pociechę, zwróciła się na światelko błyszczące przed Obrazem. Biegła nie szła, wsunęła się pod galerję na dawne miejsce i padła na kolana.

Chciała się modlić, nie mogła, dziwne, straszne, niepojęte myśli sunęły się po głowie rozżarzonej jak senne widma, zaczynała i nie kończyła i zapominała o modlitwie. Postrzegłszy to, rozplakała się nad sobą.

Kłęczała długo, płakała, myślała; potem powolnie odeszła do domu, o sobie, o Edwardzie, o przyszłości dumając, spokojniejsza już nieco, bo ufna w opiece Bożej, do której jeszcze czysta, uciekała się z dziecinnych lat zapałem.

Nazajutrz po nocy bezsennej, Julka nie poszła na miejsce swoje w Ostrej Bramie, wstała i pobiegła odetchnąć za miastem. Edward niespokojny, nie zastawszy jej tam, gdzie codzień spotykał, pobiegł do mieszkania, do którego próżno kołatał: drzwi były zamknięte. Tysiąc myśli przeleciało mu najstraszniejszych po głowie, tysiąc razem niebezpieczeństw ujrzał, których nigdy nie widział dotąd, poleciał jak szalony, nie wiedząc co począć z sobą. W godzinę znowu przebiegał tęż ulicę, pukał do tych drzwi, a nikogo nie było, nikt nie odpowiedział. Niespokojność, domysły rosły olbrzymio, podobny szalonomu, nie umiając sobie poradzić stał jak słup naprzeciw mieszkania Julki. lub latał nie wiedząc dokąd, jak opętany.

Spotkał ją, gdy wracała do domu; a cały uradowany, przejęty, poskoczył nie patrząc, co czyni.

— Na Boga! gdzieś była, zawołał, oto już dwie godziny jak szaleję, latam i ledwie z niespokojności nie zwaruję! Co ci się stało!

— Nic mi się nie stało, odpowiedziała Julka miarkując uczucie, które ją przejęło na widok zapału Edwarda — czułam się chorą i poszłam przejść się za miasto.

— Ależ mnie ciężką nawiedziłaś godziną! To mówiąc ostrząsnął się i odetchnawszy, spokojniejszy, pojawiwszy, że nie może z nią rozmawiać w ulicy, pożegnał i uciekł.

Niespokojność ta objaśniła Edwarda o własnych uczuciach, które wprzód pojmując sam tała przed sobą. Teraz niejako uczynił sobie wyznanie, za którym naturalnie poszło zastanowienie nad przyszłością.

c. d. n.